

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

DESZCZYK.

Jasne słoneczko

Późno dziś wstało,

Rozpędzić chmurek

Czasu nie miało.

Więc się zbierają

Zewsząd gromadnie,

Za chwilę pewnie

Deszczyk upadnie.

Ożywi drzewa

W ogrodzie, w lesie,

Schylone główki

Kwiatów podniesie.

Na kwiatach róży

Rozwinie pąki.

Świeżą zielenią

Pokryje łąki.

Więc chociaż w domu

Siedzę nierada,

Dzięki Ci, Boże,

Że deszczyk pada.

J. Chrząszczewska.



Jutrzenka.

Opowiadanie historyczne według powieści

J. Ebersa „Serapisa“

przez

Stefana Gębarskiego.

(Ciąg dalszy.)

Oto już zaczynają się węzowymi sploty ciągnące się galerye, a poza nimi komnaty podziemne, w których siedziały olbrzymie kamienne sfinksy i potwory bronzowe z rozwartymi paszczami, pełnemi żarzących się węgli. Służyły one na postrach ludowi i dla śmiazków, którzyby zbrodniczo wtargnęli do wnętrza Serapeum.

Oto widać olbrzymie obrazy potępionych namalowane na jednej ze ścian. Dalej Tantala i Syzyfa, dalej Kastora i Poluksa z gwiazdami na głowie i włosy Bereniki usiane gwiazdami, a dalej maszyny jakieś stoją o setkach kół i kółek, posagi dziwaczne i sprzęty najrozmaitsze.

Zaczyna się istny labirynt korytarzy, galeryi izb, których ściany piramidalnie schodzą się u góry w jednym punkcie i olbrzymich sal, których strop dźwigają setki kolumn. Jednocześnie przez otwarte drzwi do górnych komnat świątyni dolał tu gwar i wesołe okrzyki uczujących, zebranych u stóp Serapisa tłumów.

Porfirusz czuje, że rana, którą otrzymał w piersi, z początku nie wiele sprawiająca mu bólu, teraz piecze go, pali, gryzie i dech tamuje w gardle. Już kilka razy pociemniało mu w oczach zakolało się w głowie. Czuł, że niedaleką jest chwila, gdy padnie bez ducha.

— O, dziw nad dziwy! — wróg nagle cofa się, zamiast napastować. Błyszczące jego chełmy i miecze znikają w głębi podziemi.

Czas też był po temu, gdyż właśnie trzech ostatnich pozostałych przy życiu towarzyszy Porfirusza padli przeszyci pociskami nieprzyjaciół.

Porfiryzus oparł się o granitową kolumnę i miecz skrwawiony opuścił ku ziemi. Wnet i miecz głuchym brzękiem wypadł mu z dłoni.

Ranny dyszał ciężko, aż wreszcie siły wyczerpały się, opuścił głowę, ręką przycisnął ranę, z której krew sączyła się obficie i czując omdlenie, usunął się na oba kolana, a później padł bez zmysłów na ziemię.

Gdy się ocknął, uczuł dotkliwy ból w głowie i w piersi. Próbował podnieść się, lecz nie mógł nawet usiąść. Opadł z powrotem na twarde, gładki granit. Ogromne pragnienie paliło go, na spieczonych ustach poczuł gorączkę.

— Cierpliwości! — pomyślał — siły wrócą mi, bylebym tylko chwilę wypoczął.

Przymknął oczy, Irena i Erebus przyszli mu na myśl.

Gdzież się podziały te złote chwile, gdy ich kochał, ufał im i wraz z nimi przebywał.

— Ireno, córko moja! — wyszeptał, czując, że ból zamroczył mu oczy, że ręce kurcz chwycił, a nieopisane pragnienie paliło go jak żarem.

— To już chyba życie uchodzi ze mnie! — pomyślał.

W tej chwili przebaczyłby był jedynej swej córce, gdyby ją był ujrzał. A jakże pragnął ją ujrzeć... Choćby na chwilę, na jedno mgnienie oka!...

Zdaje mu się, że wszystkie skarby świata, wszystkie dostojęstwa, wszystkie pragnienia oddałby za tę jedną, jedyną chwilę.

Tymczasem zamknął oczy na wieczność całą i nie ujrzy swej drogiej Ireny, nie ujrzy już nigdy!...

Nienbлагana śmierć zbliża się, nadchodzi nieodwołalnie, a on taki samotny, taki zbolący, taki opuszczony, za życia jeszcze w tem ciemnym podziemiu, jak w grobie.

— A Erebus? — przyszło mu niespodziewanie na myśl — ten wierny sługa?... a jego jaki?... Tak, cierpiał ten stary wielkie katusze, ale znalazła się litościwa dusza, która go ze szponów męczarni wydarła... A jemu nikt... nikt z pomocą nie pośpieszy!... Tam, u stóp Serapisa taniec, wino, okrzyki pijanej, rozbestwionej tłuszczy.

Umierał, a pomocy, ratunku, choćby kropli wody znikąd, znikąd!...

Omdlał znowu.

Huk jakiś straszliwy obudził go.

Otworzył oczy i ujrzał, jak obok niego, tuż przebiegł Olimpusz, za nim Aleusz i Zefirus.

Ten ostatni zatrzymał się chwilę przed nim i wybełkotał:

— Porfiryzus!... ranny!...

— Ratuj mnie! — jęknął nieszczęsny. — Jesteśmy zdradzeni.

Ale Zefirus odwrócił się i szybko podążył za tamtymi.

Huk znowu powtórzył się, 'aż granitowe kolumny zadrżały w swych posadach."

— Tarany!... szturm do świątyni!... — wyszeptał spieczonemi ustami Porfiryzus. — Biada, biada!... koniec świata się zbliża!... Targnuli się na Serapisa... biada nam wszystkim, biada światu!...

Ból go chwycił okrutny.

— Ratunku! — jęknął.

Znowu przebiegło koło niego, spiesząc w głąb podziemi kilka osób, wśród których poznał kilku znajomych dobrych i słabym głosem zaczął wzywać ich po imienia.

Niestety, poganie, przerażeni silnym szturmem, biegli zamknąć się w najdalszych zakątkach podziemnego gmachu, a starszyzna zajęła się zabezpieczeniem ogromnych, nieprzeliczonych skarbów w skarbcach świątyni.

Porfiryzusowi zdawało się, że kona.

Ogień pożerał go, trawił z rany wciąż kropla po kropli krew się sączyła.

— Ireno, żegnam cię! — szepnął. — Bądź mi szczęśliwa, droga córko!

Raz jeszcze z trudem otworzył oczy i nagle ciemna, zsiniała twarz jego rozjaśniła się.

Ujrzał nad sobą pochyloną [anielską] jakąś postać, nad której czołem gorzała złota gwiazda.

— Jutrzenka! — wyszeptał — przychodzi do mnie tak, jak przyszła do Kajusa, Liwii i Erebusa!...

Otworzył szerzej zamglone zrenice i uczuł, że wstrząsnęło nim całym rozradowanie nadziemskie.

Ta Jutrzenka, ta tajemnicza, anielska postać patrzyła nań oczyma ukochanej córki, jego drogiej Ireny! Jutrzenka!

A i lica i postać ta sama, jeno w białą szatę osłonięna.

— O Ireno!... Ireno moja!... — szepnął, pragnąc wyciągnąć do pochylonej nad nim, jakby ołowiem napelnione ręce.

— Drogi ojcze! — zadźwięczało mu w uszach, jak boska muzyka. — Ojcze mój! nie opuścisz cię!

Chciał coś odpowiedzieć, objąć ramiony tę najdroższą sercu jego istotę, ale znowu siły go opuściły, omdlał.

Do Jutrzenki zbliżyły się dwie jeszcze postacie i odtąd czuwały nad ciężko rannym, jak trzy dobre duchy, zesłane z Niebios, aby cierpiącym niosły pociechę i ukojenie.

ROZDZIAŁ X.

Wojska Teodozego Wielkiego obległy ze wszech stron świątynię Serapisa. Dowodził niemi stary wódz doświadczony — Meteliusz, który tej nocy wszedł do Aleksandryi na czele wyborowych legionów, zebranych z obozów nadnilowych. Gdy wschód słońca zajaśniał na niebie, o-

brońcy świątyni ujrzeni tuż, tuż olbrzymie tarany przysunięte pod ściany gmachów ją okalających. Cynegusz i Meteliusz stali na czele legionów.

Po raz ostatni Cynegusz wysłał do arcykapłana wezwanie, aby otworzył drzwi świątyni.

Zamiast odpowiedzi starzec kazał Memnonowi rzucić na oblegających grad kamieni i żelaza.

Cynegusz wtedy cofnął się, a wystąpił Meteliusz i dał znak do rozpoczęcia boju.

Pierwszy atak odparto po bohatersku.

Zdziesiątkowani żołnierze cofnęli się, a na ich miejsce nadbiegły nowe, żelazne szeregi.

Huk taranów i ciężkie ich uderzenia, kruszące najtwardsze mury, wstrząsnęły posadami świątyni.

Rój obrońców nagle zmniejszył się do połowy.

— Co się stało? — zapytał, podjeżdżając do Meteliusza pełnomocnik Teodozego. — Czy to nie podstęp jaki? Połowa ich z murów zniknęła?...

Meteliusz wskazał mieczem ku dołowi.

— Oddział wysłany do podziemi dotarł już głównej nawy świątyni. Obleżeni niebawem podać się muszą lub wyginą co do jednego.

Jakoż tak było w istocie, jak ten wódz doświadczony przypuszczał.

Olimpiusz, gdy mu doniesiono o porażce Porfiryusza i o wejściu do miasta legionów pod wodzą Meteliusza, stracił głowę. Już nie go ocalić nie mogło. Zamknął się w skarbcu i tam oczekiwał śmierci, będąc pewnym, że po targnięciu się chrześcijan na Serapisa i jego przybytek, nastąpi straszliwy koniec świata.

Jeden Memnon krzepił odwagę pogan.

— Umierajcie za Serapisa! — wołał z roziskrzonym wrzkiem, a były to próżne wysiłki starego wojaka: po hulaszce, bezsennie spędzonej nocy, każdy z obleżonych czuł się bezradnym, nawpół złamanym, niezdolnym do walki z przeciwnymi siłami oblegających.

(Ciąg dalszy nastąpi)



ŻNIWO.

I.

Był to gorący dzień letni. Niebo ze złotem słońcem na leżku, błękitne, jak najpiękniejsza niezapominajka, uśmiechało się do ziemi, a jasne promienie słońca całowały każde drzewo w lesie, każdy kwiat na łące, każdy kłosek w polu.

Kłosom powodziło się jaknajlepiej. Wszystkie zamieniły swoje zwykłe, zielone szaty na strój

godowy, złocisty, zwniosły się na czubki palców, aby być jak najwyższe i rozglądały się naokoło ciekawie, pochylając od czasu do czasu ku sobie głowy, jakby jeden drugiemu coś szeptał do ucha. Tu i owdzie bujny wilec wdrapywał się zrzęcznie na kłosa, jak chłopak — zbytnik na jabłoń lub gruszę i kiwał wesoło białymi kielichami na mak polny, który czerwienił się wśród zboża, na błękitne chabry i na białe rumianki.

— Już tu długo nie będziemy, mówily do siebie kłosa. Wzeszłyśmy i wróciłyśmy pięknie, jak to było naszym obowiązkiem. Użyłyśmy też już przyjemności do syta; całą wiosnę i lato byłyśmy na polu, na świeżem powietrzu; czas już, aby nas ułożono do spoczynku, nim nadejdą deszcze jesienne i śniegi zimowe.

Tak sobie gawędzily kłosa, skłaniały ku sobie główki i całowały się po bratersku.

— Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć, odezwał się znajomy głos na miedzy.

— Słyszycie, słyszycie, przepiórka woła żenców! powiedział jeden z kłosów, a potem nachylając się do swego sąsiada, dodał:

— Masz dużo ziarenek?

— Mam. A ty?

— Ja także. Skoro po nas przyjdą, nie pójdę do stodoły, jak ostatni chudзина, ale dam im ziarna, jak złota.

— Pójdźcie żąć, pójdźcie żąć, wołała przepiórka, a nawoływanie jej było słychać szeroko i daleko. Usłyszał je i gospodarz tego pola i mówił:

— Przepiórka już woła żenców do żyta, trzeba i mnie się za kosiarzami obejrzeć.

Zanim ich na wsi znalazł gospodarz, przybyło bez jego wołania wielu innych żenców na pole. Nie mieli oni ani kos, ani sierpów, przyszli jednakże żniwować, a wesołe ich głosy rozlegały się na łące.

— Widzicie panie sikorki i panów wróbli? stawili się najpierwsi — śmiały się kłosa.

— Widać są bardzo muzykalni! Słuch mają tak wykształcony, że i pół mili usłyszą głos przepiórki, zwłaszcza — gdy chodzi o dobry obiad. Jedzcie, jedzcie do syta. Pożywienia nie zabraknie, dodały wesoło.

A sikory i wróble nie dały się prosić. Nie należały do ceremoniantów! Wybierały co najśłodsze ziarneczka i dziobały jedno po drugim, swiergocąc wesoło.

— Czyr, czyr, kumoterko, — rzecze jeden z wróbli, — patrzcie tylko, kto tam idzie.

— Syk, syk — odpowiedziała sikora — jeżeli mię oczy nie mylą, jest to chomik, co to ma pałac pod ziemią, a żyje w nim jak pustelnik.

— Czy to być może? — dziwiły się wróble. — Musimy mu się dobrze przypatrzeć. Czego on tu chce?

— O, na to my wam możemy najlepiej odpowiedzieć — rzekły śmiejąc się kłosa. — Jest

to podobny żeniec, jak i wy; chce napełnić swoją stodołę.

— Tego o nas nie możecie powiedzieć, — stwierdziła się sikorka. Nie mamy żadnych stodół i niczego z sobą nie zabieramy.

— My także nie — usprawili dziwały się wróble.

— A jednak do nas przechodźcie — odpowiedziały kłosy, uśmiechając się filuternie. Nie myśleliśmy jednak, że wam to za złe bierzemy. Za to, co zjeść, wynagrodzicie stokrotnie gospodarzy. Ale z tym razem to inna sprawa!

— A co on robi, co? — pytały wróble.

— Cyt! bo usłyszysz — upominała sikorka.

— Ten? odpowiedziały pogardliwie kłosy.

— Ten zatwardziały grzesznik mało na to zważa, co o nim mówią. Nie dba o opinię. Zresztą mówimy szczerą prawdę, a jeżeli się chce obrazić, wolna wola! Patrząc tylko, jaką niewinną robi minę, a za chwilę odniesie sporo zboża do domu.

— Jakto? — pytały ptaki. — I on się nie boi, że go chwytają, gdy snop zboża peniesie na plecech?

— On nie zabiera snopów. Wymłóci sobie tutaj kłosy i czyste ziarno zabierze, — opowiedziały kłosy.

— A w czymże zaniesie ziarno do domu?

— W torbach, kochane ptaszki, tak, tak, w torbach. Ale gdybyście zrewidowały jego kęty i na ręby i na lice, nie znalazłybyście w nim żadnych torebek! Ma on je w lepszym, bezpieczniejszym miejscu, bo w swym pyszczku! Dziwicie się? Przekonacie się wkrótce same, że mówimy szczerą prawdę.

— Czy to być może? — zaświergotały ptaki i wskoczyły na wierzchołki źdźbeł, aby się dobrze temu grzesznikowi przypatrzeć.

(Dokończenie nastąpi.)



Bocian i lis.

Nie wiem, z jakiej przyczyny,
Bocian do lisa przybył w odwiedziny.

Lis skąpiec siedział właśnie przy obiedzie.

— Oto gość! — chytrze powiada —

— W porę przychodzisz, sąsiedzie.

— Możesz głodny? Czem chata bogata, tem [rada.

To rzekłszy, „leje” na płaskie talerze,

Rzadką polewkę i gością częstuje.

Ale bocian napróżno do jadła się bierze,

Redaktor odpowiedzialny Stanisław Wentowski w Gdańsku.

I w swój talerz, jak dzieciół, długiem dziobem, [kuje.

Nie lyknał ani kropki. Lis żłopie, co sily,
Żaluje, że gość luby nie ma apetytu.

Nie głodnym — rzeczce bocian, — lecz [sąsiedzie miły.

Jutro, jeżeli łaska, przjdź na obiad do mnie.

Lis machnął kitą: — Zbyt wiele zaszczytu,

Rzeczce, mrużąc oczy skromnie,

Stawie się, niezawodnie.

Pościł przez dzień cały.

I obiadowej doczekawszy pory,

Nadchodzi wielce zgłodniały.

Bocian stawia dwa gąsiory

Z szyją długą i wąską. — Jedz, lisie, powiada,

— Czem chata bogata, tem rada.

I sam w gąsiorze długim dziobem tonie,

Smaczno zajada. Lis słinkę polyka,

Wietrzy jakieś miłe wonie,

Siega łapą, ostrzy zęby,

Lecz napróżno mordę wtyka:

Szyja długa, ciasne wręby,

Ni ugryść, ni zmoczyć gęby,

Szko tylko liże i skrobie.

A bocian dziobie i dziobie.

Wydziobał wszystko. — Mój drogi sąsiedzie —

Rzeczce — jak widzę, nie jesz, czyś nie chory?

Zrozumiał lis; i naczecz, chociaż po obiedzie,

Strapiiony i zawstydzony,

Jak gdyby w kurze dał się złapać szpony,

Zemknął do nory.

Chytre lisy! pomnijcie, że do czasu sztuka,

Znajdzie się w końcu bocian, który was oszuka.

Rozwiązanie łamigłówek z nr. 25.

I

- 1) M6L.
- 2) EjkE.
- 3) NiebO.
- 4) EdisoN.
- 5) LotI
- 6) AnD.
- 7) Urszula.
- 8) SemiramIS.

MENELAUS. — LEONIDAS.

II.

	G				
	L	A	S		
	W	A	R	T	A
G	A	R	O	N	N
	M	A	N	N	A
	D	N	O		
	A				

Drukiem i nakładem Pelagii Pałędzkiej w Gdańsku.